

## Po co nam kultura, czyli... Saska recydywa

Autor tekstu: **Lech Brywczyński**

### Artyści - lepperyści

**Ś**wiat jest znacznie prostszy i łatwiejszy do opisania, niż można by było przypuszczać.

A jeśli już pojawia się jakiś problem, trudny do rozwikłania, to najlepiej poczekać, aż niewidzialna ręka rynku sama rozwiąże go za nas...

Tę odkrywczą refleksję zawdzięczam lekturze artykułu p. Jana Winieckiego pt. *"Eksperyment i ekskrement"* („Wprost”, 15 XII 2002 r.). Autor, nie ukrywający swoich liberalnych przekonań, bez osłonek *załatwia odmownie* ludzi sztuki i literatury, stwierdza bowiem, że są oni w większości *wyznawcami artystycznej wolności za nasze, podatników, pieniądze* a ich pretensje wobec obojętniejącego na kulturę państwa *tchną agresywnym, roszczeniowym duchem lepperyzmu*.

Mocne! Autor idzie jednak jeszcze dalej: jego zdaniem jedynym, nieomylnym weryfikatorem wartości sztuki jest rynek — jeśli ten odrzuci dzieła jakiegoś artysty, to znaczy, że są one nic nie warte.

Naprawdę? Rozumowanie autora — „liberała” jest proste i logiczne. Mam jednak zwyczaj nie ufać myślom, które zbyt łatwo przychodzą do głowy i wydają się oczywiste, dlatego postanowiłem przyjrzeć się bliżej argumentom autora i konsekwencjom, jakie z nich wypływają. Tak się bowiem składa, że mam kontakty z licznymi środowiskami literackimi w całym kraju, znam wielu ludzi, tworzących wartościowe literacko utwory i publikujących je za własne pieniądze, w niskonakładowych tomikach lub art-zinach (większość nakładu rozdają potem znajomym). Wszyscy oni nawet pomarzyć nie mogą o sławie i uznaniu, jakie są udziałem słabszej od nich literacko Doroty Masłowskiej z Wejherowa. Masłowska zdobyła rynek — czy to oznacza, że jest od nich lepsza? Czy to, że zespół *Ich Troje* jest najpopularniejszy na muzycznym rynku oznacza, że jest też najlepszy?

J. Winiecki na tak postawione pytania nie odpowiada, ale tok jego rozumowania prowadzi do odpowiedzi twierdzącej. Autor zabezpiecza się przed podobnymi wpadkami, odwołując się - jako do wzorca pozytywnego — wyłącznie do klasyki, która, jak powiada, *rzadko zawodzi*. Vide: obrazy impresjonistów. Fakt: najlepiej czytać te książki, które już kiedyś czytaliśmy i oglądać znane sobie obrazy...

I po co w ogóle mają powstawać nowe dzieła sztuki, skoro istnieje klasyka?

To, że niektórzy z obecnych klasyków malarstwa żyli w biedzie i za życia nie byli w stanie sprzedać nawet kilku obrazów, też nie jest dla autora powodem do rozterek. Choć powinno: skoro „nieomylny” rynek „mylił się” wtedy, to może myli się i teraz? Wyspiański zemdlął z głodu, malując jeden z portretów, argentyńskie tango było kiedyś uważane za taniec amoralny i wyuzdany, a dziś króluje na salonach...

### Mecenas, czyli geniusz

Wykazując niemal bezgraniczne zaufanie do mechanizmów rynkowych i do aparatu państwowego, J. Winiecki wyraźnie nie dowierza artystom. Z naciskiem podkreśla, że *większość arcydzieł powstała na zasadzie kontraktu między twórcą a mecenasem*, natomiast obecny zalew artystycznej tandety i bezguścia *jest najczęściej rezultatem decyzji, podejmowanych przez samych artystów*.

Powyzsze opinie powinny zostać wyrzeźbione złotymi zgłoskami w gmachu warszawskiej Giełdy Papierów Wartościowych lub w innej świątyni Złotego Cielca. Okazuje się bowiem, że rzeczywistymi artystami są tak naprawdę mecenasami (niegdyś — snobistyczni arystokraci, dziś — nowobogaccy kapitaliści), bo jak już oni coś zamówią, to ho, ho! — palce lizać. Wychodzi na to, że artystyczne talenty są wprost proporcjonalne do zasobności portfela. Aby tylko nie pozostawiać twórcom swobody artystycznego wyboru, to o poziom polskiej kultury możemy być spokojni!

Wedle J. Winieckiego, twórcy powinni się więc zachowywać tak, jak pracownicy wielkich firm: dokładnie wykonywać polecenia, zbytnio nie rezonować i broń Boże nie denerwować

swoich szefów — prywatnych mecenasów. Niestety, nie wszyscy chcą przestrzegać tych zbożnych zaleceń. Złym przykładem jest pewien filmowiec, który stwierdził, że *podstawowym zadaniem reżysera jest zepsucie obiadu przedstawicielowi klasy średniej*. Ta wypowiedź oburzyła J. Winieckiego, który określa tego typu opinie jako *antykapitalistyczne wapory* i postuluje, by podobnym artystom nie przyznawać żadnych dotacji: "*Niech sobie pracują, na przykład jako dozorczy na budowie, a w wolnym od pracy czasie poświęcają się swemu hobby. Kiedy zbiorą dostateczną ilość pieniędzy, niech sobie wynajmują jakieś salki i prezentują tam swoje osiągnięcia.*"

Dzięki i za to, że autor artykułu pozwala poetom na wydawanie tomików wierszy za ich własne pieniądze, bo przecież - o zgrozo! — mogą tam być publikowane utwory o treściach wywrotowych, antyliberalnych, antykapitalistycznych, antyestabliszmentowych... Takie, których państwowy ani prywatny mecenat nigdy by nie zaakceptował! To niebezpieczne: podobno wszystkie rewolucje zaczynają się najpierw w umysłach ludzi...

J. Winiecki dobrze wie, że tak zakreślone ramy działalności spychają wszelką, niezależną twórczość do getta subkultury i sprawiają, że nie będzie szerzej znana. I o to właśnie mu chodzi: o to, żeby nie zepsuć obiadu rzeczonym przedstawicielom klasy średniej i wyższej. Mają oni żyć w duchowym błogostanie i skupiać całe swoje siły na dalszym, dynamicznym rozwoju kapitalistycznego budownictwa. Brawo! Bezpośredniość, z jaką autor głosi swoje proestabliszmentowe przesłanie, rozczuła do łez.

Jak widać, polski liberalizm ma oblicze ckiwe, sentymentalne, nie skażone rozterkami ducha i przymilnie uśmiechnięte w kierunku tych, którzy mają duże pieniądze. Dla pozostałych ma tylko jedną radę, aby też pieniądze zdobyli. Oczywiście nie jest to rada szczerza: wiadomo, że w firmie może być jeden właściciel, a kilkuset pracowników, nigdy odwrotnie. Jeśli jednak owi pracownicy ogarnięci będą pragnieniem, by też zostać kapitalistami, to (choć w większości zostaną tym, czym byli dotąd) wtopią się bez reszty w system i będą go akceptować. Kultura, tak jak ją postrzega J. Winiecki, ma w owym *wtapianiu się* nie przeszkadzać, nie prowokować i nie zadawać trudnych, obrazoburczych pytań. Ma to być zatem kultura, wypełniająca polityczne interesy warstw rządzących...

W takim właśnie kontekście widzieć trzeba umoralniające dywagacje autora na temat tzw. blokersów: „Dlaczego blokersi wybierają złe wzory, a nie dobre, skoro dostępne są im i jedne, i drugie! Dlaczego nie patrzą na tych kolegów z tego samego lub sąsiedniego bloku, którzy pracując przez lata po kilkanaście godzin dziennie w wybranej dziedzinie, doszli do czegoś — i wyszli z bloków?" [1]

Nie wiem, na jakiej planecie żyje p. Winiecki, ale chyba nie jest to nasza stara, poczciwa Ziemia, skoro nie słyszał o dziedziczeniu biedy i bogactwa ani o tym, że nawet w krajach, w których roi się od milionerów, nie brakuje bezdomnych i bezrobotnych... Ciekawe, jakie wzory wybrałby nasz autor, gdyby sam się nagle znalazł małoletnim blokersem, którego rodziców ledwo stać na zapłacenie czynszu i rachunku za prąd? Wiem: pewnie wybrałby się na płatne studia na renomowanej uczelni, dzięki czemu zapewniłby sobie dobrą posadę w *wybranej dziedzinie*...

## Jaka cenzura? To tylko mecenat...

J. Winiecki oskarża polskich twórców o to, że chcieliby mieć mecenasa, ale bez mecenatu — czyli bez ingerowania w ich twórczość. To oskarżenie jest tak naprawdę komplementem, oznacza bowiem, że ludzie kultury jeszcze mają do powiedzenia coś więcej niż to, czego żądają od nich sponsorzy, a często tkwią z owymi sponsorami w ideowym sporze. Rzeczywista tragedia nastąpi dopiero wtedy, gdy artyści bez reszty zaakceptują świat duchowy swoich mecenasów i stojącego za nimi państwa.

Zresztą, polskie realia są o wiele osobliwsze, niż by się mogło wydawać liberałom. Coraz częściej bowiem jest odwrotnie: kultura miewa mecenasa, ale bez mecenatu (czytaj: pieniędzy). Przykładem tego był niezapomniany minister Cywiński, który wszem i wobec pouczał teatry, jakież to repertuar mają prezentować na swoich scenach. Co ciekawe, ów minister formułował swoje zalecenia dla teatrów, chociaż nie był ich właścicielem, administratorem ani sponsorem! Tak się bowiem składa, że zdecydowana większość polskich teatrów jest obecnie finansowane przez samorządy wojewódzkie lub miejskie. Takich mecenasów, jak min. Cywiński, nie potrzebują nawet ci, którzy zatrudnili się w charakterze nocnych stróżów...

J. Winiecki nie może pojąć, dlaczego twórcy oczekują, że państwo będzie ich wspierało,

lecz nie cenzurowało? Na szczęście, państwo kapitalistyczne tak durne nie jest i chce mieć na wszystko wpływ. Takiej postawie państwa przyklaskuje J. Winiecki, wykazując tym samym zadziwiające (jak na liberała) zaufanie do artystycznych kompetencji państwowych urzędników i do tego, że będą się oni kierowali wyłącznie artystycznymi kryteriami. Zaufanie, którego nie podzielam, choćby z uwagi na wycięcie fragmentów telewizyjnego wywiadu ze Zbigniewem Herbertem, tłumaczone „przyczynami technicznymi” (za „dłuższy” do usunięcia uznano akurat te fragmenty, gdzie Herbert wypowiadał się niezbyt pochlebnie na temat Adama Michnika).

A Waldemar Łysiak, od lat ignorowany nie tylko przez władzę, ale i przez ogólnopolskie stacje telewizyjne, na czele z „misyjną” TVP? Czy mam uwierzyć, że jest to dziełem przypadku albo niskiego poziomu książek tego autora?

## "Dlaczego o tym pisać nie chcecie, panowie?"

Dzisiejsza, polska kultura znajduje się w głębokim kryzysie, czego p. Winiecki stara się nie dostrzegać. Żyjemy w kraju, w którym, jak to eufemistycznie określają państwowi i samorządowi urzędnicy, *kultura nie jest priorytetem*. Realia są takie, że wielu artystów (nie tylko ci, którzy malują obrazy łajnem, na czym skupia swą uwagę autor!) bardzo chciałoby objąć posadę nocnego stróża, ale nawet takiej pracy dla nich nie ma. Wśród prowincjonalnych literatów trudno spotkać ludzi zamożnych, wielu jest za to bezrobotnych, rencistów, ochroniarzy, bibliotekarzy czy nauczycieli. Po co tworzą, skoro nikt im za to nie płaci? J. Winieckiego odpowiedź na to pytanie nie interesuje, bowiem milcząco zakłada, że to, co tworzą, i tak jest pozbawione jakiegokolwiek znaczenia. *Poezja to twórcza autodefinicja człowieka? A kto by tam dziś czytał Brzozowskiego!*

Najinteligentniejsi i najbardziej kreatywni ludzie, jakich obecna Polska posiada, zajmują się, jako copywriterzy, układaniem ogłupiających sloganów reklamowych, za które kasują ciężki szmal albo filmowaniem debilnych sit-comów, a w najlepszym razie – odtwarzaniem klasycznych ramot w filmach lub na teatralnych scenach. Do polityczno-biznesowej elity kraju kooptowani są głównie ci twórcy kultury, którzy z niczym wywrotowym się nie kojarzą, a na dzisiejszą rzeczywistość dobrotliwie spoglądają przez różowe okulary, w myśl hasła: „*W Polsce jest super!*” Elita istnieje zresztą w Polsce tylko w tym sensie, że są w naszym kraju ludzie, którzy mają władzę i pieniądze, dzięki czemu tworzą rodzaj zwartej grupy, powiązanej siecią wzajemnych powiązań. I w żadnym innym.

Taki właśnie, polityczno-biznesowo-towarzyski charakter polskiej elity, potwierdziła choćby głośna *Afera Rywina*. Nic dziwnego, że Zdzisław Krasnodębski, w swoim znakomitym komentarzu pt. „*System Rywina – z socjologii III Rzeczypospolitej*” (*Rzeczpospolita*, 22 stycznia 2003 r.) stwierdził bez osłonek: „Musimy spojrzeć prawdzie w oczy: największe zagrożenie dla demokracji, dla naszej wolności i naszej pomysłowości płynie nie z marginesu III RP, lecz z jej kulturalnego, politycznego i gospodarczego centrum, nie z dołów, lecz z samej góry, z "towarzystwa"..."

Także profesor Jadwiga Staniszkis, w wywiadzie dla "*Tygodnika Solidarność*" (wydanie z 10 stycznia 2003 r.) widzi upadek polskiej kultury jako element większej całości. Mówiąc o samozadowoleniu polskiej elity władzy, pani profesor stwierdza: „Ignoruje się istnienie społeczeństwa, gdyż potrzebna jest tylko masa, podnosząca ręce w geście głosowania. Dlatego lansuje się obraz społeczeństwa debilnego, w czym ma pomóc np. lansowanie prozy Doroty Masłowskiej, podczas gdy naprawdę Polacy jako zbiorowość są mądrzejsi, głębsi, znacznie bardziej tragiczni i skomplikowani. Ta rzeczywistość nie znajduje jednak odbicia w kulturze ani w wyrazu w polityce."

Dlaczego tak istotne problemy *nie znajdują odbicia* w kulturze? Czy dlatego, że członkowie elity zadbali o to, żeby spokojnie zjeść obiad? A może dlatego, że utwory, które owo *odbicie* wyrażają, tworzone są przez nocnych stróżów, w chwilach wolnych od pracy i odczytywane tylko garstce kolegów?

Kultura jest zresztą ostatnim określeniem, jakie przyszłoby na myśl podczas lektury pasjonującego dyskursu Rywin-Michnik. Po przeczytaniu owego „platońskiego” dialogu wiem już, dlaczego czołowi twórcy boją się współczesności, dlaczego tak niechętnie poruszają bolesne problemy i dylematy, którymi żyją miliony rodaków. Dlaczego nie interesuje ich np. to, co czyni z psychiką człowieka bezrobocie, jak bieda przekłada się na apatię i upadek norm moralnych, na rosnącą liczbę rozwodów, na rozkład więzi rodzinnych, na rezygnację z jakichkolwiek aspiracji kulturalnych i poprzestawanie na rozpaczliwej walce o zaspokojenie

elementarnych potrzeb bytowych...

Doprawdy, jest się nad czym zadumać. Kiedyś, w czasach gierkowskich, gdy uczyłem się w liceum, podczas którejś z lekcji języka polskiego pojawiło się dziwnie i tajemniczo brzmiące słowo: mezalians. Nauczyciel wyjaśnił, co to takiego: bohaterka omawianej powieści nie chciała wyjść za mąż za przystojnego i zakochanego w niej chłopaka, ponieważ pochodził on z ubogiej rodziny. Gdyby zań wyszła, byłoby to właśnie mezaliansem.

Pamiętam, że nasza klasa zatrzęsała się z oburzenia: jakaż to ciemnota dawniej panowała, skoro nie można było zawierać małżeństwa z miłości, bo o wszystkim decydowały względy materialne... Obawiam się, że dzisiejszym, elbląskim licealistom, którzy przeszli twardą szkołę polskiego kapitalizmu, nie trzeba już wyjaśniać, czym jest mezalians. Oni dobrze wiedzą, że nie mieliby szans na ożenek z córką któregośkolwiek z listy 100 najbogatszych Polaków, publikowanej przez tygodnik "Wprost". A gdyby nawet taką szansę otrzymali, to wówczas... płaciliby za swoje „szczęście” upokorzeniami całego, dalszego życia. Sto lat temu Włodzimierz Perzyński opisał te problemy w znakomitej sztuce pt. "Szczęście Frania". Dzisiejszych salonów literackich podobne tematy nie interesują, nowi Dulscy mogą spać spokojnie...

Powyższy przykład to oczywiście tylko wierzchołek góry lodowej. Coś się stało w minionych kilkunastu latach z psychiką Polaków; coś, co warto byłoby artystycznie przetworzyć; coś, co mogłoby zepsuć spokój przy spożywaniu niejednego obiadu...

## Bez kultury, bez tożsamości

Jan Stachniuk, twórca ideologii „kulturalizmu”, równie wysoko cenił wytwory kultury technicznej i kultury duchowej; twierdził, że *kultura jest wydzwignięciem się świata na wyższą płaszczyznę, zaś proces tworzenia kultury polega na przemianie napięć pola żywiołów w obiektywne dzieła, w których zaklęta jest moc*. Może warto znowu zajrzeć do jego dzieła pt. "Człowieczeństwo i kultura"? Choćby po to, by przeczytać obrazoburczo dziś brzmiącą tezę, iż *"dobrem jest wszystko to, co jednostkę pozytywnie wiąże z kulturą i jej moc wzmaga, złem zaś to, co jednostkę z kultury wyrwa..."*

Człowiek to dla Stachniuka coś więcej, niż tylko klient czy konsument: *"Jestem człowiekiem. Znaczy to, że jestem spełniającym się zadaniem świata."*

A jak widział Stachniuk rolę artystów? Na pewno nie miała się ona sprowadzać do zawierania kontraktów ze sponsorami: *„Rola artystów polega na tym, że własnym odczuciom piękna nadają obiektywny wyraz, dzięki czemu środowisko społeczne za ich pośrednictwem uzyskuje możliwość widzenia i przeżywania najwyższych problemów kulturowych. Bez artystów twórcze społeczeństwo nie mogłoby się rozwijać, gdyż zabrakłoby tych, którzy organizują jego zbiorową duszę. Na sztukę należy więc patrzeć jako na dźwignię, za pomocą której miliony psychik indywidualnych ulegają uformowaniu i włączeniu w społeczny rytm. Oczywiście mamy na myśli społeczeństwo powstałe w wyniku stawania się ciągu kulturowego; może bowiem być też tak, że zespoły ludzkie nic nie tworzą, trwają dla samego trwania, a wówczas sztuka jest dla nich zupełnie niepotrzebna, chyba tylko dla zabawy..."* (Jan Stachniuk, "Człowieczeństwo i kultura", Wrocław 1996, s. 69) [2]

Idee wrogie kulturze obdarzał Stachniuk mianem „**saska recydywa**". W mojej opinii, to właśnie określenie znakomicie opisuje dzisiejszą kondycję polskiej kultury.

Ponowne przemyślenie sensu uprawiania działalności kulturalnej okaże się szczególnie ważne, jeśli weźmiemy pod uwagę planowane wtopieniu się Polski w struktury Unii Europejskiej.

Podczas mojego wieczoru autorskiego w Pasłęku, dyskusja zesłała w pewnym momencie na tematy, związane właśnie z integracją europejską. Uczestniczący w tym spotkaniu Tadeusz Sokołowski, aktor elbląskiego *Teatru Dramatycznego*, opowiedział wówczas przygodę, jaka mu się zdarzyła w Europie Zachodniej, kiedy to nawet nie zauważył, że przekroczył granicę i znalazł się w innym państwie. Swoją opowieść zakończył stwierdzeniem: „Po naszym wejściu do Unii Europejskiej, polskie granice będą się stawały coraz bardziej umowne, coraz mniej zauważalne. Tylko dzięki kulturze będziemy mogli wówczas poznać, że nadal znajdujemy się w Polsce."

Obyśmy jak najdłużej mogli poznać...

Zobacz także te strony:

[Kulturowy tygiel](#)

---

Przypisy:

[1] Bardzo interesujący dokument na temat tej subkultury - "Blokersi" - nakręcił Sylwester Latkowski, emitowano w TVP2 w 2002 r. [MA]

[2] Warto też zajrzeć ponownie do książki "Chrześcijaństwo a ludzkość" tegoż autora; w Racjonalście we fragmentach - zobacz: dział Światopogląd-->Panhumanizm

#### **Lech Brywczyński**

Ur. 1959. Studiował chemię i historię; pracował w wielu zawodach, m.in. jako tłumacz, wydawca, dziennikarz lokalnej prasy, animator życia kulturalnego; dramaturg (dramaty publikowane m.in. w: czasopiśmie Res Humana, szczecińskich Pograniczach, w gdańskim Autografie, w elbląskim Tyglu, w magazynie Lewą Nogą, i in.); w 2002 r. ukazała się jego książka [Dramaty Jednoaktowe](#) (sponsorowana przez Urząd Miejski w Elblągu).

[Strona www autora](#)

[Pokaż inne teksty autora](#)

(Publikacja: 30-01-2003 Ostatnia zmiana: 06-09-2003)

[Oryginał.](http://www.racjonalista.pl/kk.php/s,2228) (<http://www.racjonalista.pl/kk.php/s,2228>)

Contents Copyright © 2000-2008 Mariusz Agnosiewicz

Programming Copyright © 2001-2008 Michał Przech

Autorem tej witryny jest Michał Przech, zwany niżej Autorem.  
Właścicielem witryny są Mariusz Agnosiewicz oraz Autor.

Żadna część niniejszych opracowań nie może być wykorzystywana w celach komercyjnych, bez uprzedniej pisemnej zgody Właściciela, który zastrzega sobie niniejszym wszelkie prawa, przewidziane w przepisach szczególnych, oraz zgodnie z prawem cywilnym i handlowym, w szczególności z tytułu praw autorskich, wynalazczych, znaków towarowych do tej witryny i jakiegokolwiek ich części.

Wszystkie strony tego serwisu, wliczając w to strukturę katalogów, skrypty oraz inne programy komputerowe, zostały wytworzone i są administrowane przez Autora.

Stanowią one wyłączną własność Właściciela. Właściciel zastrzega sobie prawo do okresowych modyfikacji zawartości tej witryny oraz opisu niniejszych Praw Autorskich bez uprzedniego powiadomienia. Jeżeli nie akceptujesz tej polityki możesz nie odwiedzać tej witryny i nie korzystać z jej zasobów.

Informacje zawarte na tej witrynie przeznaczone są do użytku prywatnego osób odwiedzających te strony. Można je pobierać, drukować i przeglądać jedynie w celach informacyjnych, bez czerpania z tego tytułu korzyści finansowych lub pobierania wynagrodzenia w dowolnej formie. Modyfikacja zawartości stron oraz skryptów jest zabroniona. Niniejszym udziela się zgody na swobodne kopiowanie dokumentów serwisu Racjonalista.pl tak w formie elektronicznej, jak i drukowanej, w celach innych niż handlowe, z zachowaniem tej informacji.

Plik PDF, który czytasz, może być rozpowszechniany jedynie w formie oryginalnej, w jakiej występuje na witrynie. **Plik ten nie może być traktowany jako oficjalna**

**lub oryginalna wersja tekstu, jaki zawiera.**

Treść tego zapisu stosuje się do wersji zarówno polsko jak i angielskojęzycznych serwisu pod domenami Racjonalista.pl, TheRationalist.eu.org oraz Neutrum.eu.org.

Wszelkie pytania prosimy kierować do [redakcja@racjonalista.pl](mailto:redakcja@racjonalista.pl)